NUMER 27. DNIA 6-go LIPCA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

JÓZEF JEDLICZ.

Z „Legendy pól“.



DRUCHNY.

W cieniu kwietnych jabłoni, omdlałych na skwarze,
Stanęły gwarną ciżbą na progu mej chaty,
Ubrane w purpurowe maki i bławaty,
I dzban złotego wina przynoszą mi w darze.

W słonecznej ciszy biała, spłakana dziewczyna,
Strojna swym ślubnym, w kwiaty najbogatszym wieńcem,
Błaganiem modrych oczu i szczęścia rumieńcem
Zaprasza mię — w puhary lejąc strugi wina.

Dają napój, z uśmiechem głoszą naprzemiany,
Że jest dom, gdzie nie zbywa na miodzie i chlebie,
Grzmi weselna muzyka, huczny śpiew i tany —
A w górze sam Pan Jezus cieszy się na niebie.

WINO.

O dzięki ci, dziewczyno, za dar wina szczodry,
Bławaty rzuć — niech, zwiędłe, umierają w pyle —
Promienniejszy twych źrenic spłakanych kwiat modry,
Bo jakież kwiaty w świecie zrównają ich sile!

I maki rzuć — bez woni to kwiat i nietrwały —
Warga twa płomienniejszym szkarłatem się żarzy,
Jak śmierć upojna — wszystkie tęsknice i szały
Wioną z purpurowego kwiatu białej twarzy.

Tyle ludzi urzekły źrenic modre tonie, —
Twych źrenic niezgłębionych, o biała dziewczyno,
Tyle ludzi potruły warg upojne wonie —
Pan Jezus dał im złote na lekarstwo wino...

MUZEUM PRZEMYSŁOWE MIEJSKIE.

Ćwierć wieku z górą minęło od chwili, kiedy z inicjatywy ś. p. Juljana Zacharjewicza, a staraniem grona prywatnych osób założono we Lwowie muzeum przemysłowe. Instytucja ta, stworzona w epoce gorącej propagandy dla sprawy odrodzenia i rozwoju sztuk dekoracyjnych, powołana została do życia, równie jak inne muzea przemysłowe zachodniej i środkowej Europy, pod hasłem programu Gotfrieda Sempera, który przewidział wysokie ich znaczenie kulturalne, wytyczył im kierunki działalności. Dziś, rozsiane po wszystkich krajach cywilizowanych, zakłady te spełniają swą misję w szerokim zakresie, poszczycić się mogą ogromnemi wobec sztuki, przemysłu i wobec ogólnej kultury zasługami. W porównaniu z bogatym plonem zagranicznych zakładów dorobek muzeum lwowskiego skromnie przedstawić się musi. A jednak instytucja ta niedoceniona u nas przez szerszy ogół, który nigdy z jej znaczenia dokładnie nie zdawał sobie sprawy, nigdy wydatnie jej nie popierał — wywarła przecież dużo dobrego wpływu w niejednym kierunku, a wpływ ten mógłby był nierównie być znaczniejszym, gdyby nie ciasne i ciężkie warunki krępujące na każdym kroku rozwój tego muzeum od chwili jego założenia, aż po dzień dzisiejszy. Godzi się od czasu do czasu przypomnieć ten tak ważny, a tak mało ceniony zakład tym, dla których opłakane położenie naszych rękodzieł, niski poziom artystycznej kultury w naszem społeczeństwie nie jest rzeczą obojętną.

Muzeum lwowskie, stworzone w roku 1872 ofiarnością gminy, kraju i kilku prywatnych osób, wyposażone na początek wcale znacznym, jak na ówczesne stosunki funduszem, powitane zostało przez ogół bardzo życzliwie, wzbudziło powszechne zainteresowanie. Skromny lokal na Strzelnicy miejskiej, gdzie nowy zakład początkowo umieszczono, wnet zapełnił się nietylko własnymi okazami, ale nadto i licznymi depozytami osób prywatnych, które chętnie powierzały młodej instytucji na czas pewien cenne i piękne rodzinne zabytki, niejednokrotnie całe kolekcje. Zorganizowano równocześnie szereg fachowych odczytów, dla pouczania rękodzielników o rozwoju i postępie technicznej strony rzemiosł.

Niestety platoniczna ta w gruncie rzeczy życzliwość publiczności nie trwała długo. Powoli zaczęto wycofywać deponowane okazy, a ofiarność prywatna okazała się bardzo niewielką, ograniczając się z małymi wyjątkami po dziś dzień do drobnych, często wątpliwej wartości podarków. Fundusz zebrany przy założeniu przeznaczono na budowę gmachu muzealnego, leżał więc martwo, szczupłe zaś subwencje ze strony rządu, kraju i gminy, po opędzeniu kosztów administracji, wystarczały zaledwie na bardzo nieznaczne powiększanie zbiorów.

W dwa lata po założeniu muzeum, wskutek starań podjętych u rządu utworzono z funduszów państwowych szkołę rysunków i modelowania, którą pomieszczono w lokalu muzealnym. Powołano do życia nową tę instytucję bez obmyślenia dla niej sposobów samoistnego rozwoju, narzucono ją na barki niedawno powstałego muzeum, które rozwijało się samo w warunkach ciasnych i niepomyślnych, które samo potrzebowało poparcia o wiele wydatniejszego. Szkoła związana z muzeum stała się dlań fatalnym ciężarem, krępując swobodny rozrost, tamując jego działalność. Pomimo bowiem przeniesienia obu zakładów do obszernego, w centrum miasta położonego lokalu w gmachu ratuszowym, rozwijająca się szybko szkoła, zabierała największe i najlepsze sale, a muzeum ofiarność swą musiało przez długie lata drogo opłacać zacieśnieniem swych najżywotniejszych interesow. Dopiero w r. 1892 szkoła przemysłowa przeniosła się do własnego gmachu.

Jeszcze bardziej fatalnym w skutkach błędem ze strony kierownictwa muzeum było to, że wypaczono w samym zarodzie pierwotny program instytucji. Zamiast rozwijać ją w ściśle określonym, jednym kierunku, zamiast stworzyć wyłącznie muzeum dla przemysłu artystycznego, wprowadzono doń kierunek technologiczny, zapełniając zbiory przez szereg lat próbkami gwoździ, drutów, szyn wiedeńskich, modelami maszyn, których konstrukcji nikt nie rozumiał, przeróbkami parafiny, okazami minerałów i drzew egzotycznych... Ten brak zdecydowanego kierunku zemścił się na dalszym rozwoju muzeum tem fatalniej, że zaniedbano równocześnie sposobność

gromadzenia licznych jeszcze wtedy w kraju i cennych zabytków sztuki stosowanej, które nabywać można było łatwo i nieraz po cenach niebywale niskich. Był to wogóle ostatni czas ratowania zabytków krajowych od zagłady i rozproszenia po świecie. Zamiast poświęcić na ten cel choćby cały fundusz zapasowy, który można było jeszcze niewątpliwie zwiększyć, upominając się energicznie o zasiłki u kraju, u zasobniejszych instytucji, — pozwolono szarańczy zagranicznych handlarzy splondrować i ogołocić kraj do cna ze wszystkich zabytków, które tylko kupić się dały, patrzano ze spokojem, jak obcy spekulanci przetrząsali każdy niemal dom zasobniejszy, każdą zakrystję, wywożąc za granicę gobeliny, kobierce, zbroje, porcelanę...

Niewątpliwie nie było tu winnem samo tylko kierownictwo muzeum, ale bardziej jeszcze groszowa gospodarka kraju i rządu, które skąpiły funduszów, zawinił ogół społeczeństwa, nie poczuwając się do najmniejszej w tym kierunku ofiarności, winnym był wreszcie ciężki, biurokratyczny system statutem zastrzeżony, który uniemożliwiał szybką decyzję przy zakupnie, z pominięciem długich i zawiłych formalności.

A przecież kilka wycieczek urządzonych po kraju z pewnym funduszem na zakupna, byłoby wówczas przyniosło plon obfitszy dla zbiorów muzealnych, niż późniejsza długoletnia, lecz spóźniona już zabiegliwość.

Krępowana w wewnętrznym swym rozwoju instytucja znalazła przecież drogę pożytecznego działania, podejmując wydanie ,,Wzorów przemysłu domowego włościan na Rusi“. Publikacja ta, jakkolwiek z wielu względów nie odpowiada wymogom naukowym, stanowi przecież ogromnie cenny zbiór motywów sztuki ludowej i żałować należy, że obejmuje drobną tylko część tego, co na tem polu zebrać i wydać by można.

Działalność w tym kierunku rozpoczętą przed 20 przeszło laty powinno by muzeum podjąć na nowo, rozszerzając zakres przyszłego wydawnictwa, także na sztukę ludu polskiego w zachodniej części kraju, gdzie znajdują się jeszcze nieprzebrane zasoby motywów artystycznych, dotąd zupełnie prawie nieznanych. A nietylko w drodze publikacji należałoby ratować je od zagłady, równie koniecznem byłoby gromadzić takie same wyroby domowego przemysłu i to jak najrychlej. Z każdym bowiem rokiem, niemal z dniem każdym znikają bezpowrotnie malownicze stroje, zdobne sprzęty i narzędzia ludu naszego, giną bez śladu całe skarby twórczej jego fantazji, — szarzyzna wiejska i fabryczna tandeta wciskają się do chaty wieśniaczej na całym obszarze kraju. Rozbudzona w ostatnich czasach dążność stworzenia rodzimego stylu zwraca się dziś w pierwszym rzędzie do motywów ludowych, obowiązkiem przeto muzeów naszych jest postarać się o jak najbogatsze zapasy tych artystycznych materjałów.

Niemniej powinno się wytężyć całą energję na to, by odszukiwać, gromadzić pozostałe jeszcze historyczne zabytki naszego artystycznego przemysłu, zwłaszcza te, co noszą piętno rodzimej twórczości. I w tych bowiem utworach mieści się bogate źródło motywów dla sztuki swojskiej, którą wytworzyć chcemy w przyszłości.

Od czasu wydania ,,Wzorów przemysłu domowego“ działalność muzeum na zewnątrz przez długie lata nie zaznaczyła się żadnym ważniejszych faktem. Co do wewnętrznego rozwoju, instytucja zbyt skąpo uposażona, aby mogła wzbogacić swe zbiory kosztownymi okazami, zwróciła baczność głównie na dobre wyposażenie bibljoteki. To też bibljoteka muzealna, zapełniona wyborowemi publikacjami ze wszystkich działów sztuki i przemysłu artystycznego, stanowi dziś bezwarunkowo najcenniejsze we Lwowie źródło dla studjów w tym kierunku i mogłaby naszej publiczności ogromną przynieść korzyść, gdyby tylko chciano korzystać z niej w większej mierze. Żałować doprawdy wypada, że zbiór tak piękny, tak mało szerszemu ogółowi jest znany.

W r. 1896 rozpoczęło muzeum wydawnictwo czasopisma „Przemysł artystyczny“ z programem podniesienia artystycznego poziomu naszych rzemiosł, oraz rozbudzenia zamiłowania do sztuki wśród szerszej publiczności. Wydawnictwo utrzymać się nie mogło, nie znalazłszy najmniejszego poparcia ani wśród rzemieślników, ani u szerszego ogółu. A jednak pismo takie potrzebnem by było bardzo i powinno by koniecznie powstać we Lwowie — jednak na podstawach szerszych, wciągając w swój program nietylko przemysł artystyczny, ale wszystkie działy sztuki. Tylko pod tym warunkiem mogłoby ono liczyć na poczytność szerszych warstw i przyczyniać się do podniesienia u nas artystycznej kultury.

Muzeum chcąc działać w tym kierunku zwracało się dotąd w pierwszym rzędzie do rzemiosł

w nadzieji, że podnosząc i uszlachetniając produkcję przemysłu artystycznego wpłynie się tem samem na szerzenie smaku i zamiłowania do sztuki wśród szerszego ogółu.

Wyniki ogłaszanych w tym celu konkursów, wszelkie inne usiłowania i próby okazały, że należy pójść drogą wręcz przeciwną, że wypada raczej starać się w pierwszym rzędzie o rozbudzanie kultury artystycznej wśród szerokich warstw, a dopiero, gdy publiczność sama stanie się w wymaganiach swych artystycznych wybredniejszą, wówczas i produkcja naszych rękodzieł zmuszona będzie do tych wymagań się dostroić.

To też energiczna i wszechstronna akcja dla szerzenia, zamiłowania i znajomości sztuki wśród ogółu społeczeństwa powinna stać się dziś pierwszorzędnem zadaniem muzeum przemysłowego, wszystkie w tym kierunku usiłowania powinny by znaleźć tam oparcie i wydatną pomoc, instytucja ta mogłaby i powinna stać się w ten sposób prawdziwą *alma mater* dla rodzimej sztuki w tej części kraju.

Działalność w kierunku organizacji i szerzenia u nas wiedzy o sztuce, urządzanie wykładów z odpowiednim materjałem objaśniającym, częste ogłaszanie konkursow na wyroby artystyczne, pośrednictwo zorganizowane między publicznością, a projektującym artystą i wykonawcą - rzemieślnikiem i wiele innych jeszcze ważnych i żywotnych zadań czeka u nas na inicjatywę, która z natury rzeczy wyjść by powinna od instytucji poświęconej sprawom sztuki stosowanej.

Chwila obecna nadaje się do tego bardziej niż kiedykolwiek. Propaganda, rozwijająca się dziś wszędzie za granicą dla rozbudzenia kultury artystycznej w najszerszych kołach, znajduje i u nas oddźwięk coraz głośniejszy. Miejmy nadzieję, że muzeum przemysłowe będzie pionierem przyszłych w tym kierunku usiłowań, że za przykładem pokrewnych instytucji zagranicznych rozwinie rozległą pod tym względem, a prawdziwie obywatelską akcję.

W tym celu zaś życzyć wypada zakładowi przedewszystkiem, aby doczekał się nareszcie jak najrychlej własnej, wygodnej siedziby, któraby szerzej zakreślonym celom odpowiadała, prócz tego zaś życzyć należy, aby społeczeństwo we własnym swym interesie okazywało więcej zrozumienia dla celów, więcej ofiarności dla potrzeb tej instytucji, a wówczas może przynajmniej pokolenie, co przyjdzie po nas mniej będzie obojętnem dla spraw sztuki narodowej, przestanie się otaczać tandetną, zagraniczną secesją, nie będzie patrzeć obojętnie na wywożenie z kraju, lub marnowanie się cennych zabytków, nie pozwoli wielkim artystom swoim umierać z głodu.

Wł. Stroner.

Z czasów króla Jana.

(Ks. Dr. Józef Caputa: „Chryzostom Gołębiowski, kaznodzieja króla Jana III“).

Mimo błysków pozornej świetności, koniec się zbliżał nieubłaganie. Było jeszcze potężne państwo i było rycerstwo zahartowane na dzikich polach kresowych, była złuda wielkosci i druga, niewzruszonej siły. Przebrzmiały Kazimierzowe złowrogie wróżby, jak jęki rozżalonych śpiżowych dzwonów, — bijących na alarm bez echa, bez odezwu. Społeczeństwo oszołomiło się, upiło ogromnymi tryumfami i kąpało w blaskach zwycięstw bohaterskiego monarchy, niepomne jutra. Znajdują się jeszcze ludzie światli z Janem Stanisławem Jabłonowskim na czele — ale głos ich głosem wołającego na puszczy, wszystko zaprawdę chyli się ku upadkowi, „bog i ludzie szaleją“. Leniwy, wygodny determinizm

ogarnia naród. Wytwarza się powoli, statecznie wiara zabobonna, że Święta Panna szczególniej umiłowała i oręduje Polskę, ocaliwszy ją z kozackiej krwawicy i szwedzkiej powodzi. Z opieką podobną zginąć nie można, choćby się miarę swywoli tysiąc razy przebrało i gruzy pod własne sypało nogi i groby pod sobą kopało. Wnet znajdą się teoretycy cudacznych przesądów w osobach Majchrowicza, Dębickiego, Wielhorskiego, aby bezsensową filozofję zanarchizowanej szlachty w książkowe przemienić katechizmy.

Z królem Janem ginie ostatni rycerz niezawisłej Rzeczypospolitej, ginie, udowadniając, czem mogła być jego wspaniała Ojczyzna, nieustraszona wobec zewnętrznego, bezradna wobec wewnętrznego wroga. Z pośród żyjących, odchodzi ten Król-Duch dziejów naszych, opromieniony glorją wiekopomnych czynów, ale niespełnionych skutków. W duszy jego skupiają się Batorego i Władysławowe plany tureckie i chęć zgniecenia Brandeburgji, ile razy jednak zerwie się do wielkiej rzeczy, kruszy się w ręku jego robota, — jak przysłowiowy owoc martwego morza. Marnieje przez swoich, marnieje tragicznie. Jan czuł trudność położenia bez wyjścia. W chwilach smutku i desperacji budziły się w uczuciach jego żywiołowo młodzieńcze wspomnienia sodalisa Marji Panny, który wierzył, że rany otwierały się w piersiach Chrystusa, zawieszonego nad łóżkiem chłopięcia, że wyciągały się w powietrzu dwie kościste, gwoździami przebite ręce i ożywiała się białokredowa głowa, napiętnowana w Sanhedrynie. Pobożne wychowanie w domu, uświęconym tradycją Marka i Jakóba Sobieskich, tudzież pamięcią cecorskiej ofiary Stanisława Żółkiewskiego, silne pozostawiło ślady na późniejszym królu. Z przywiązania do religji wypłynęło namaszczenie, ewangeliczny i apostolski zarazem nastrój, który powierzchownie wyglądał na pozę, — a w rzeczywistości był najczystszą emanacją duchowej ewolucji. Dlatego mowy Jana mają polot poezji psalmistów, niekiedy grozę Jeremiaszowych proroctw. Nie chce się wierzyć, że to rycerz mówi, a nie kapłan doskonale obeznany z pismem świętem, z Ojcami Kościoła i z całym aparatem teologicznej uczoności. Jednak on to sam z krwi i kości, wnuk hetmanowy, straszny, gdy powtarza przepowiednię: jeszcze czterdzieści dni, a Niniwa upadnie!.., Wprost wspaniałym jest ten król na radzie posejmowej w r. 1681, gdy biadał na odmówienie mu posiłków na turecką wojnę i załamawszy ręce, zawołał za rzymskim Augustem: „Warrusie! Warrusie! oddaj mi moje legjony!...

Legjony dostał potem na wiedeńską odsiecz, ale wraz z niemi haniebną niewdzięczność. Po Chocimie i wiedeńskim czynie knuje garść oligarchów spisek, zamierza zedrzeć koronę ze skroni Jana, aby ją włożyć na głowę jednego ze swoich. Kończy się na szczęście wszystko wczesnem odkryciem kreciej roboty, — nie kończy się jednak wróceniem królowi spokoju w przedzgonnych chwilach. Mimo to zamykał powieki bez szemrania, tak, jak cicho cierpieć umiał w myśl swego zrezygnowanego powiedzenia: małe bole krzyczą, duże kamienieją!...

Sobieski jest najznamienitszym rycerzem i krasomówcą swego panowania, chociaż go inni przewyższają formą, nigdy jednak napięciem uczucia i odczucia. Na zawsze ciekawym pozostanie fakt, dlaczego ta doba wojny pod godłem religji nie wydała takiego kaznodzieji, — jak czasy pierwszego na polskim tronie Wazy. Pod względem bujności wypadków nie dadzą się rządy Zygmunta III. porównać z rządami Jana, — a przecież nie mają one swego Skargi. Szczęk oręża głuszy na schyłku XVII. w. poezję, głuszy rozwój społecznego życia, głuszy całą myśl narodu. Potem Skarga stał u początku rozkładu, nawoływał do poprawy, gdy złe nie przybrało jeszcze postaci zupełnej anarchji i nie sprowadziło tak ciężkiego przesilenia, jakie zatrzęsło podstawami Polski po buncie na Siczy, po rokoszach Lubomirskiego i spiskach za Michała. Czas był w sam raz na krytykę, na wytykanie zarodów nieszczęścia, nawet na proroctwa. Po zgaśnięciu geniuszu Skargi, niepodobna było zdobyć się na proroctwa równie potężnego nastroju, ograniczyć się musiano do moralizatorstwa i karcenia grzechów, których bez nadzwyczajnych cudów odrobićby żaden naród nie umiał. Każdy Jeremiasz wobec aureoli Skargi byłby bladym jej refleksem i wobec gwałtownego wzrostu powszechnego rozkładu nie prorokiem — lecz bystrym obserwatorem. Lecz ówcześni kaznodzieje nie potrafią spełnić nawet zadania obserwatorów, nie potrafią, czy nie dorośli do wykorzystania przełomowych wypadków, tej epopeji osmańskiej i gorączkowego fermentu, odbywającego się w obronie ideji złotej wolności i republikańskich paradoksów szlacheckiego statysty,

filozofa i mądrały, Maksymiljana Fredry. Tuzinkowym kaznodzieją nie jest ani Kierśnicki, ani Łukasz Załuski, — ale w piersiach ich nie gorze pożar zapału, są obowiązkowi, raczej urzędowi, niż natchnieni. Perłą jest jeszcze Młodzianowski, bo umie trącić o struny rzewnego uczucia i być wstydem wstydów tego, co się naokoło dzieje. Zresztą króluje na kazalnicy makaronizm, napuszystość, gawędziarstwo, niesmaczne z świętymi bajki z mitologji i rubaszność, — jakby żywcem z szlacheckiej gospody na ambonę przeniesiona. Widocznie poezja wojennych czynów zabiła poezję duszy i serca. Po Młodzianowskim dzierży berło ks. Chryzostom Gołębiowski, wyrwany z zapomnienia dzięki rozprawie ks. Józefa Caputy.

Dzieje życia Gołębiowskiego skąpe, szare, dość zwykłe. Służył wiernie zakonowi Augustyanów w Warszawie do ostatniego tchnienia i w jego obrębie zdobył różne godności, bo trzy razy piastował urząd prowincjała, został nadwornym kaznodzieją i doradcą bardzo wpływowych biskupów Wierzbowskiego i Witwickiego. Infuły przyjąć nie chciał, pomny może odmowy Mościckiego, który oświadczył Zygmuntowi Augustowi, że woli raczej być najmizerniejszym Dominikaninem, niż polskiej szlachty kucharzem i cześnikiem... Od pierwszego wystąpienia na Sejmie grodzieńskim w 1688 r., zabłysnął piękną wymową i niezwykłem poczuciem estetycznem, na owe czasy makaronicznego potopu. Gołębiowskiego kazania cechuje niezmierna powaga i równowaga. Zawsze i wszędzie jest przedewszystkiem teologiem, gruntownym znawcą rzeczy kościelnych, abdykującym dla uczoności z fantazji i poezji. Nawet gdy każe na Sejmie i grozi zbliżającym się upadkiem Ojczyzny, powołuje się na prawdy odwieczne ewangelji, te prawdy słuchaczom przypomina i tłómaczy. W tej mierze zbliża się najbardziej do postyll Wujka, — chociaż i Skargę w treści, nie w stylu naśladuje. Francuscy kaznodzieje z doby Ludwika XIV., szczególniej Bourdalone, jest umysłem szerszym, szukającym własnych dróg i rozumowań, — Gołębiowski zaś nie wychyla się poza ustaloną teologiczną wiedzę. Systematykiem jest, pedantem niemal, dbającym o podziały i nadzwyczaj sumienne opracowanie całości. Wypowiada pod sklepieniem świątyni traktaty naukowe, spokojne, wstrzemięźliwe. Struna uczuciowa nie odzywa się w nim silniej, — a gdy się zapomni i trochę uniesie, jak na Sejmie w 1691 r. gromiąc anarchję, — wraca czemprędzej do akademickiej sztywności. Skarga, to sangwinik, prorok, — Gołębiowski, to profesor na ambonie, kaznodzieja umysłowy, elegancki naśladowca Francuzów, uczący, nie grożący. Różne są jego mowy: synodalne, pogrzebowe, niedzielne i najważniejsze, sejmowe. Mimo burzliwych czasów spotkać się z nim można rzadko, — jak przypuszczamy, z tego powodu, — że inni, od których w hierarchji był zależnym, zwłaszcza biskupi Witwicki i Załuski, nie opuszczali żadnej sposobności, aby się popisać szeroką swadą oratorską. W ówczesnych archiwaljach daremnie szukać jego nazwiska. Nie znać go w sprawie Łyszczyńskiego, w której rolę inkwizytorów i sług bożych pełnią kolejno Wierzbowski, Witwicki, Załuski, nie znać w zawierusze, która się podniosła po odkryciu spisku przeciw koronie Jana i nastręczała kaznodzieji nadwornemu pole do wdzięcznego wystąpienia. Kazania jego dźwięczą jedną nutą: nawoływaniem do zgody. „W progach domowych zakopać o d i a, prywaty, niezgody — mowi do sejmującej szlachty — a tu o tem tylko radzić, coby było ojczyźnie zbawienno".

Rozmyślnie pokrótce roztoczyliśmy tło dziejowe, — aby wskazać, jak najwybitniejszy nawet kaznodzieja tej epoki po Młodzianowskim, nie umiał dostatecznie reagować na złe powszechne — nie umiał być ani wielce energicznym, ani do nieszczęść i wypadków dość nastrojonym. Tematów było niestety za dużo, — wyobraźni i czucia za mało. To nietylko jego wyłączna wina. W każdym razie zredukował ks. Caputa swoją rozprawą ostry sąd Mecherzyńskiego i Hołowińskiego o wartości kaznodziejskiej sztuki za Michała i Jana. Nie zgadzamy się z autorem na przestarzałą kompozycję dziełka, traktującą osobno życiorys, osobno dzieło człowieka i to znowu na podstawie skrupulatnie przeprowadzonych podziałów. Tak pisze się podręcznik, — nie syntetyczną pracę. Skutki organicznej wady tu i ówdzie widoczne. Tło historyczne w „wstępnych uwagach" i spostrzeżenia poświęcone wpływom francuskiego na polskie kaznodziejstwo, powtarzają się w charakterystyce działalności Gołębiowskiego, — a przez rozproszenie, tracą niewątpliwie nieco na sile kolorytu i skupienia. Słynna mowa Jana po zerwaniu sejmu w 1688 r., zawierająca słowa: „dopieroż s t u p e b i t p o s t e r i t a s", wydrukowana już z cytowanego przez autora rękopisu książąt Czar-

toryskich, — w Tarnowskiego „tajemnicy 1688 roku“.

Ocena wartości mów Gołębiowskiego ogółem wyborna i wszechstronna. Dziełko jest istotnie interesującym przyczynkiem do czasów Jana III., które nowsi historycy z Korzonem na czele, z prawdziwem traktują zamiłowaniem.

Ernest Łuniński.

Druga odpowiedź p. Studnickiemu.

(Dokończenie.)

II.

W obec tego ogólnego odradzania się narodowości fakt wzrostu ucisku Polaków w zaborze rosyjskim i pruskim jest zjawiskiem przejściowem. Rząd pruski i niemiecki przejawiają często zapędy absolutystyczne. Czyż z tego jednak wynika, że ogólna ewolucja polityczna podąża w kierunku despotyzmu monarchicznego?

Chcąc zbić moją argumentację, p. Studnicki twierdzi, że zdobycie zupełnej samodzielności przez Węgrów dla swego kraju było dla nas niekorzystne, gdyż utrudnia obecnie wyodrębnienie Galicji.

Dowodzenie to nie może w niczem osłabić moich argumentów. Z poglądów moich o solidarności narodów uciskanych nie mogło i nie może wynikać, żebyśmy pomagali tylko innym usamodzielniać się, nie myśląc o rozszerzeniu praw własnych; przeciwnie, z całego toku mego rozumowania wynika, że uważałbym za najkorzystniejsze dla nas, aby nietylko Węgrzy, lecz wszystkie inne narody, wchodzące w skład Austrji, jednocześnie uzyskały jaknajszerszą autonomję.

Zresztą wyzwolenie Węgier ma i dodatnie dla nas skutki. Nie należy zapominać, że Węgry usamodzielniły się od rządów absolutystycznych. I dziś, kiedy sytuacja w Austrji bywa ciężką, kiedy walki narodowościowe przerywają prace parlamentarne, kiedy w głowie tego lub innego ministra świta może myśl o powrocie do „starych dobrych czasów“; Węgry realizacji tych marzeń stoją i stać będą na przeszkodzie. Nauczeni doświadczeniem, nie dopuszczą oni do absolutyzmu w Austrji.

Pan Studnicki zarzuca mi, że rozróżniam rząd od społeczeństwa. Jak zwykle nie przeczytał on uważnie mojej odpowiedzi i posądza mię o to, że rządy rosyjski i pruski uważam za niezależne zupełnie od społeczeństwa.

Otóż zarzucałem i zarzucam p. Studnickiemu, nie to, że chce walczyć nietylko z wzmiankowanymi rządami i z pewnemi grupami społecznemi w Rosji i Niemczech, lecz, że uważa całe społeczeństwo niemieckie i rosyjskie za wrogie nam.

Każdy rząd opiera się oczywiście na pewnych grupach społecznych, ale nie na całem społeczeństwie. W czasach odległych barbarzyńskich, kiedy grupy społeczne były mało zróżniczkowane, kiedy panował jeden zwyczaj i t. p. rząd był wyrazem całego społeczeństwa.

W wyższych fazach rozwoju tak jednak nie jest.

Fakty pouczają nas, że nawet w krajach z ustrojem parlamentarnym, opartym na powszechnem prawie głosowania — jak we Francji — rząd nie zawsze jest wyrazem opinji większości, i że tylko system przedstawicielstwa ustosunkowanego w połączeniu z powszechnem prawem głosowania, zapewnia większości rządy w kraju.

Cóż dopiero mówić o takiem państwie absolutystycznem, jak Rosja, lub o konstytucyjnych wprawdzie, ale nie przez większość parlamentarną rządzonych Niemcach?

P. Studnicki myli się zupełnie, kiedy twierdzi, że od czasów Hercena nikt w Rosji sprawie polskiej nie sprzyjał i nie sprzyja.

Przedewszystkiem Hercen nie był jedynym Rosjaninem, sprzyjającym Polakom. Ciekawych tej sprawy odsyłam do książki Pypina p. t. „Kwestja polska w literaturze rosyjskiej“.

Książka ta obejmuje epokę dawniejszą. W nowszych czasach zarówno „Rosyjska socjalno-demokracja w programie swym z 1898 r., jak i partja „Socjalistów-rewolucjonistów“ wypowiedziały się w tym duchu, że Polacy, jak i inne narodowości, sami mają prawo określać stosunek swój do Rosji, aż do zerwania z nią jedności państwowej.

Nieznajomość tego faktu okazuje zupełną ignorancję p. Studnickiego w sprawach rewolucyjnych w Rosji z ostatniego okresu ich rozwoju.

Pan Studnicki zechce może zaglądać do duszy członków tych partji i powiedzieć, że uznanie praw Polaków jest nieszczerem, ale metoda taka nie będzie „objektywną“, tylko zabawą w psychologję polityczną.

Jeżeli stosunek partyj rosyjskich był względem Polskiej Partji socjalistycznej w zaborze rosyjskim nieprzyjazny, to przyczyną tego była jej taktyka, pogląd na najbliższy okres walki w Rosji i t. p., a nie jej zasadnicze stanowisko w kwestji polskiej.

To samo można powiedzieć i o niemieckiej socjalnej demokracji. Walczyła ona z polską organizacją o wiele rzeczy, nigdy jednak większość jej nie wypowiedziała się zasadniczo przeciwko niepodległości Polski. Kautsky pisał nawet na korzyść tego postulatu.

Zresztą, gdyby nawet przypuścić, że niemieccy i rosyjscy socjaliści niechętni są wskrzeszeniu Polski, — to z tego jeszcze nie wynika, że chcą nas wynarodowić, że odmawialiby nam instytucji samorządu i innych.

P. Studnicki zajmuje w kwestji rusińskiej, w artykule, na który odpowiadam obecnie, stanowisko niewyraźne.

Twierdzi on, że dając coś Rusinom, sami powinniśmy wzmacniać swe siły przez tworzenie nowych zakładów naukowych i t. p.

Oczywiście, nic przeciwko temu nie mam, a nawet przeciwnie. Chodzi mi tylko o to, aby nie odmawiać Rusinom tego, co im jest potrzebne dla rozwoju narodowego, i nie uzależniać poparcia tych żądań od tego, czy zaraz nasze wymagania dla utrzymania tylko przewagi kulturalnej nad Rusinami zaspokojone zostaną.

Można się kategorycznie niezgadzać na to, by nas za San wyparto z Galicji Wschodniej, a jednocześnie uczynić zadość słusznym wymaganiom Rusinów, bez względu na to, czy to ich wszystkich zadowolni, czy nie.

P. Studnicki sądzi, że Słowianie z powodu swej słabości będą dążyć ku Rosji, nie chce jednak tego zrozumieć, że przy innych warunkach równych ciążenie ich ku Rosji będzie o tyle silniejsze, o ile warunki rozwoju ich narodowości w Austrji będą trudniejsze.

P. Studnicki dowodzi, że żydzi współdziałali ruchowi pozytywistycznemu i programowi pracy organicznej u nas. Zapewne, współdziałanie to jednak nie dowodzi istnienia jakichś specyficznych cech „żydowskiego charakteru narodowego“.

Ale wracamy do kwestji rusińskiej.

P. Studnicki lubuje się w niektórych wyrazach, jak: „realna polityka“ i t. p., wyrazy te każdy chętnie stosuje do własnej polityki, są to ogólniki, nic nie znaczące frazesy. Zamiast nich, p. Studnicki powinienby rozumować ściśle i wskazać środki dla swoich rozległych planów walki na wszystkie fronty.

Pogląd nasz w sprawie rusińskiej, który najbardziej oburza p. Studnickiego, formułujemy tak: rozwój narodowości rusińskiej jest jednym z wielu objawów znamiennego w wieku XIX procesu budzenia się do życia politycznego uciśnionych, lub uspionych narodowości.

Doświadczenie historyczne wykazuje, że budzące się do życia narodowości rozwijają się szybko, że nawet państwa, potężne narody, posiadające bardzo wysoką kulturę, nie mogą stłumić odradzającego się ruchu narodów, przez nich podbitych.

Społeczeństwo polskie, rozporządzające nieznacznemi siłami, mające niebezpiecznych wrogów w osobie rządów: rosyjskiego i pruskiego, we wpływach niemieckich w Austrji, nie ma sił do zwalczania Rusinów. Po za tem, rzecz jasna, względy ideowe nie pozwalają odmawiać zadośćuczynienia słusznym ich wymaganiom.

P. Studnicki może sobie mówić, że Rusini są materjałem etnograficznym, że nie mają lite-

ratury i t. p., ale są to gołosłowne twierdzenia, trzeba je dokładnie uzasadnić.

Sądzę, że polemika nasza powinna się na tem na teraz skończyć.

O ile można było w krótkich artykułach ogólne swoje poglądy wyświetlić, zostało to już przez nas zrobione; dalsze uzasadnianie naszych twierdzeń możliwe będzie tylko przez szczegółowe i oddzielne omówienie różnych poruszanych tu zagadnień, co wymaga czasu, dłuższych artykułów i prac specjalnych.

Ludwik Kulczycki.

STEFAN RYCERSKI.

PUŚCIZNA BRZESZCZA.

(C. d.)

— Ty, tylko swoje; zwarjowała i zwarjowała. Otóż nie zwarjowałam, bo teraz takie czasy, że my górą. A cóż to Nacia gorszego od panien Marskich, albo jakich innych? Edukację ma, piękna, jak malowanie, prawosławna. Każdy generał ożenić się z nią może. Ho, ho, my teraz górą! Pani Marskiej może się nie podobać synowa popadjanka. Patrzała na nas, jak na nieboskie stworzenia. A teraz co? Przeszkodzić nie przeszkodzi, a gdyby i chciała, byłoby jej czem usta zamknąć. Ludzie zapomnieli o tym krzyżu, co się sam wyprostował, ale przypomnieć im można, o jej! i jak jeszcze...

W miarę, jak mówiła, Jedniewicz patrzał na nią oczyma, w których malowało się coraz większe zdumienie.

— Milcz! milcz! — wyrzekł. — Przykazywałem ci przecież, żebyś o tym krzyżu pary z ust nie puściła.

— Przykazałeś — to i co? Teraz ja nie posłucham, ja nie zmilczę.

I coraz bardziej rozłoszczona, przyskoczyła do niego, jak furja.

— Jak będzie potrzeba, zrobię donos i na ciebie. Niech wiedzą, czem ty jesteś. Co wart prawosławny taki, jak ty! Obaczysz, stary. Pójdziesz ty jeszcze w Sybir, jeżeli mnie nie posłuchasz.

— A niech będzie i Sybir! – zawołał, doprowadzony do ostateczności. — Sybir lepszy od takiej żony. Już mi tu wszystko zbrzydło. Zrób na mnie donos, ale pamiętaj, że jak mnie, tak i ciebie z popowszczyny wygnają, i będziesz miała Malińce.

Nasunął kapelusz na głowę i wypadł na drogę.

Jedniewiczowa nie spodziewała się takiej odprawy. Znała męża, wiedziała, że nie należy przeciągać z nim struny. Trafiła jej też do przekonania słuszność jego groźby. Natychmiastowym skutkiem mogła być utrata zajmowanego stanowiska.

Zresztą przyszło jej na myśl, że nie miała potrzeby denuncjować męża, ani wymagać od niego denuncjacji, mogła sama zaskarżyć panią Marską, a lepiej jeszcze: zagrozić jej denuncjacją.

Równie zła, jak ograniczona, nie była w stanie zdać sobie sprawy z osobistości tak bardzo wyższej od siebie. Nie rozumiała, że groźba żadna nie mogła mieć dla niej znaczenia.

Największą trudność w uskutecznieniu tego projektu stanowił brak wprawy w pisaniu, z którem wogóle miała bardzo mało do czynienia, tak dalece, iż koniecznych przyborów musiała szukać w kancelarji męża.

Skorzystała więc zaraz z jego nieobecności i po długich namysłach, kreśleniach, poprawkach, napisała z wielkiem lekceważeniem ortografji, gramatyki, składni, parę następujących wierszy:

„Osoba rzyczliwa ostrzega panią Marską, że będzie niepszyjemność, gdyby pan Ignacy nie ożenił się z porwaną przez niego panną Je-

dniewiczówną. Pani Marska pszeszłego roku naprawiła krzyż na drodze. O tem wiedzą. Niech syn się ożeni, bo sprawnik będzie wiedział też. Radzę syna zaraz ożenić, bo będzie źle“.

Naturalnie nie położyła podpisu.

Ten dowód miłości macierzyńskiej kosztował Jedniewiczowę niezmiernie wiele pracy, zapewne nawet nie byłaby podołała zadaniu, gdyby nie to, że znalazła u Naci książkę z wzorem listów rozmaitej treści i rodzaju, wśród których wygrzebała potrzebne frazesa i skleiła jako tako.

Dumna ze swego dzieła, nie pomyślała, że każdy odgadnie od razu pochodzenie listu. Rzecz naturalna, że napisała go na popowszczyźnie któraś z osób interesowanych. Z naiwnością, godną lepszej sprawy, posłała go zaraz na pocztę, pewna, że na drugi, lub trzeci dzień dojdzie swego przeznaczenia.

Jedniewicz tymczasowo szedł, gdzie go oczy niosły, chciał uciec od żony, od samego siebie, od wspomnień, i szeptał, jakby nieprzytomny:

— Oj, nie jedno to, tak czy inak się modlić... Djabeł wszedł do mego domu. Sam mu drzwi otworzyłem. Djabeł wszedł w moją rodzinę. Nie było mi sądzonem żyć spokojnie. Synowie poumierali... Córka się złotrzyła, żona... pożal się Boże, cały z niej djabeł... Chce mnie słać w Sybir. Ot, niech raz wyszlą i niech będzie koniec wszystkiemu!

W jego mętnej duszy budziło się pojęcie ogromu spełnionej winy, w której tkwił początek wszystkiego złego i jakieś pragnienie oczyszczenia się modlitwą, ale nie w tej cerkwi, w której modlił się urzędownie za cara. W myśli jego stanęła nagle dawna świątynia, taka, jaką była niegdyś.

Przechodził koło krzyża Brzeszcza. Zatrzymał się, coś go ciągnęło, by rzucić się pod cień jego, ucałować ziemię, niegdyś krwią zroszoną. Postąpił nawet ku niemu, ale opamiętał się w porę i z głuchem przekleństwem szedł dalej.

Gdy doszedł do lasu, słońce schyliło się już ku zachodowi i skośnemi promieniami złociło wybiegające w góry pnie sosen, rzucając ruchome światła na gąszcz leszczyn, paproci, czernic, wysokich traw i jerzyn.

Jedniewicz znalazł ścieżkę, wiodącą w głąb lasu i jak zwierz ścigany, skręcił na nią, rzucił się na ziemię pod wzgórzem, o kilka kroków od drogi, skryty leśnym drobiazgiem tak dobrze, iż ludzkie oko wyśledzić go nie mogło.

Zrazu czuł tylko ból piekący. Powoli jednak działała na niego cisza i samotność, ogarniał go wielki spokój letniej przyrody. Zapatrzył się na wiewiórki, przeskakujące nad jego głową z sosny na sosnę, zasłuchał w głosy ptaków, nawołujących się wzajem, a cichy szum lasu, począł go kołysać, nasuwać w myśli obrazy, wspomnienia, zepchnięte gdzieś na dno duszy.

Ileż on razy dzieckiem, wyrostkiem — biegał po tym lesie, który dostarczał mu jagód, orzechów, grzybów — ileż razy zasypiał na tych trawach! Jaki on był wówczas szczęśliwy! Nie rwał się do szerokiego świata, starczyło mu to, co posiadał. Jedynak u rodziców, los jego był z góry wytknięty. Wiedział, że kiedyś zastąpi ojca na probóstwie, jak ojciec nastąpił po dziadzie. Dobrze mu było w tej rodzinnej wiosce, gdzie wszyscy byli mu swoi. Serce jego skłaniało się do córki ościennego parocha. I stanęła mu w myśli taka, jaką była, kiedy miała zostać jego żoną.

Boże wielki! Cóż się z tej kobiety zrobiło! A wydawała mu się słodka, jak miód, patrzała w jego oczy, jak w tęczę. Marzył, że życie pójdzie mu z nią w ład, w spokój.

I wszystko szło dobrze... aż... aż do owej chwili...

Potem pokrzywiło mu się życie. Żona, córka i wszystko, czego się tknął, obracało się przeciw niemu. Djabeł wszedł do jego domu. Żona groziła mu donosem...

Objął czoło rękoma, zatopił palce w długich, zwichrzonych włosach, pogrążył się znów w bolesnych myślach i sam nie wiedział, jak długo tak pozostał. Ale już ostatnie promienie gasły na zachodzie, gdy usłyszał tentent konia i przez szpary między gałęziami dostrzegł wysoką postać Berwicza, wracającego do domu.

Jedniewicz nie myślał o nim, nie szukał, nie czekał na niego. Uciekł wprost przed żoną do lasu, bo wiedział, że go tam ścigać nie będzie, ale gdy spostrzegł z daleka starego, powstało w nim nagłe postanowienie, wybiegł na drogę i stanął znienacka przed koniem.

— A toż co! — zawołał Berwicz, ściągając nagle wierzchowca, który, przestraszony, w bok się rzucił.

Przyszło mu na myśl, że pop zwarjował, lub spił się bez pamięci, bo wyglądał, jakby nieprzytomny. Chciał go wyminąć, ale Jedniewicz pochwycił cugle i zaczął śmiać się przykrym śmiechem:

— Panu się zdaje, żem oszalał... Ha!... byłoby czego. Żona chce na mnie robić donosy, chce mnie na Sybir zesłać!... a córka!... córka!... córka?...

Mówiąc to, wpatrywał się w oczy Berwicza, jakby badał, czy on wie, czy się domyśla, lub czy chociaż przyszło mu do głowy marzenie Naci i żony.

Berwicz to odczuł i wzajem wbił wzrok w mętną twarz popa. On także usiłował wyczytać jego myśli.

Pytać nie chciał. Na co? Jakąkolwiek odebrałby odpowiedź, nie byłby uwierzył.

Położenie było tak naprężone, iż każda wskazówka, każdy wyraz, mógł mieć swoje znaczenie, bo Jedniewicz był w jednej z tych chwil, w których słowa gwałtem cisną się na usta. Niech będzie, co chce, on musiał opowiedzieć, co myślał, to też zaczął znowu:

— Cóż! — ja przy zdrowych zmysłach, choć spadło na nas nieszczęście przez waszego Ignasia. Niech go Bóg ciężko za to ukarze!

Berwicz powtórzył w duszy:

— Niech go Bóg ukarze!

— Ale i wam może być z tego bieda. Rozumiesz pan?

— Nam? — odparł — nam? Nikt przecież w domu nie będzie go uniewinniać!

— Ot, nie rozumiesz mnie pan! Pani Marska może jeszcze przeklinać chwilę, w której moją Nacię uratowała od śmierci.

— Nie mieszaj pan tu pani Marskiej. Ona świętą, ona nikogo nie przeklnie.

Jedniewicz nie słuchał i szeptał przerywanym głosem:

— Słuchaj pan... Bóg cię tu zesłał... Bo myślałem, że szaleję... bo też... ja wiem najlepiej, że to być nie może...

W oczach popa było coś tak stanowczego, iż Berwicz, przerażony, czekał co powie mu jeszcze, co rozumiał przez te wszystkie niedokończone wyrazy.

Jedniewicz stał ciągle przy koniu z cuglami w ręku, tylko stracił wątek mowy. Pierwszy impuls przeminął, namyślał się teraz, co ma uczynić. Przecież to, co niepodobne, stać się nie mogło. A gdyby mogło?... Nie chciał psuć losu swojemu dziecku.

Parę sekund trwało milczenie, aż Berwicz zawołał:

— Mówże pan! Co być nie może? Dokończ!

— To i co będzie, jeżeli powiem?

Berwiczowi brakło cierpliwości, szarpnął nagle.

— No to puśćże mnie pan do djabła!

— Puść! puść, a co będzie, jak Eudoksja swoją groźbę wykona?

— Groźbę!

— Jak Boga kocham, ja tego nie chciałem. Ani mi się w głowie zamrzyło. Pan Ignacy i moja Nacia! Ale ten krzyż! ten krzyż! Ja żonie zakazał, żeby pary z ust nie wypuściła. Cóż, kiedy słuchać nie chce! Jak Marska będzie przeszkadzać, ona zrobi donos. Przysięgnie, że podpatrzyła w nocy ludzi ze dworu i samą panią... Ja to musiałem panu powiedzieć. Jak usłyszałem tentent konia, pomyślałem: Ot, zrządzenie — trzeba ostrzedz!

Berwicz przez chwilę był jak gromem rażony. Więc to, co najstraszniejszego przeszło mu przez głowę, miało jakąś podstawę, nie było czczym wytworem chorej wyobraźni?

Opamiętał się i wyrzekł:

— Pani Marska nie miesza się do spraw podobnych. Ignaś sam z pewnością żenić się nie myśli, a co się troi w głowie pańskiej żony, na to poradzić trudno.

— Troi albo nie troi, — odparł chmurnie Jedniewicz, — to mniejsza. Wiesz pan dobrze, że donos zawsze donosem: każdy swoje zrobi.

Stary o tem był aż nadto przekonany, ale cóż mógł powiedzieć?

Pop spoglądał na niego z pod oka.

— Ja ostrzegłem. Cokolwiek się stanie, pamiętaj pan, ja do tego ręki nie przyłożył.

Berwicz wysiłkiem woli zapanował nad sobą. Odgadł sprzeczne uczucia w duszy renegata, w której dobre budziły się niekiedy, aby zaraz zaniknąć.

— Cóż z tego — wyrzekł oględnie, z pozornym spokojem, — że pan sam ręki nie przyłoży. Trzeba żony pilnować.

— Prędzejbym djabła upilnował!

— I dla pana także mogłaby stąd być bieda, boś świadczył inaczej.

— Ot, bieda! Pan myśli, że Eudoksja o mnie się troszczy. Ot, ja zrobiłem swoje.

Puścił cugle, a patrzał na Berwicza, który pokłusował do domu.

Więc myśl o tym potwornym związku powstała w głowach Jedniewiczów? Jej czy jego, mniejsza, dość że powstała, teraz nieszczęsna sprawa krzyża mogła wyjść na wierzch i pani Teresa paść ofiarą, a praca lat tylu musiałaby się przerwać. I to wszystko, z powodu złej woli, lekkomyślności młokosa, dla którego za ciężką była puścizna Brzeszcza. O ta puścizna!... W czyje ona ręce dostać się mogła?

Wszystko waliło mu się na głowę.

I znowu klęknął przed krzyżem — wznosił do niego zaciśnięte ręce, jakby szukał umocnienia w postanowieniu jakiemś....

(D. n.)

Odczyt Dr. Nyströma.

Niezbyt liczną, niestety, garstkę słuchaczy zdołała ściągnąć we środę do sali ratuszowej wysoce sympatyczna postać naszego gościa skandynawskiego, którego wykład na temat stosunków szwedzko-finlandzkich wielkie wśród zebranych obudził zainteresowanie. Prelegent na wstępie zaznaczył, że od chwili swej pierwszej bytności we Lwowie (przed dwoma laty) zawsze z daleka gorąco zajmował się sprawami polskimi, polską historją i polską literaturą oraz tłumaczył się, że tylko z powodu nieznajomości naszego języka, używa... niemieckiego. Zapewnił jednak nawiązując do zajść wrzesińskich i do analogicznego z naszem położenia Szwecji w w. XVIII, *dass er kein „Kaiserdeutsch“ reden wird.*

Najpierw dał Dr. Nyström krótki obraz stosunków naprężonych, jakie do niedawna jeszcze panowały pomiędzy Szwecją a Norwegją, krajami jak wiadomo złączonymi ze sobą tylko unją personalną, wspólną armją i wspólnem ministerstwem spraw zewnętrznych.

Spór toczył się właśnie głównie o to ministerstwo obsadzane tylko wyłącznie przez Szwedów i trwał lat 20, dopóki w r. 1893 Szwedzi w teorji nie przyznali i Norwegom prawa piastostowania tego stanowska. Pomimo to jednak partja, na której czele stał Björnson nie zaniechała dalszej walki politycznej, zdążając do uzyskania zupełnej na zewnątrz odrębności Norwegji i rozpoczęła nawet kokietować w stronę... Rosji. Rozdrażnienie obustronne doszło szczytu, kiedy onego czasu Björnson ogłosił znane swoje listy w „Petersburskich Wiedomostiach“. Tymczasem jednak, jak wiadomo, ukaz carski z dnia 15 Lutego 1899 rozdarł konstytucję finlandzką — i oto stosunki szwedzko-norwegskie zmieniły się nagle zupełnie.

Co skłoniło jednak Rosję do odebrania autonomji i zgwałcenia dotychczasowych praw Finlandczyków?... Do niedawna, jak wiadomo element kulturalny we Finlandji reprezentowali wyłącznie Szwedzi. Cała kultura finlandzka wogóle była zasługą Szwecji, która tam zawsze przez 700 lat (aż do r. 1809) z jak największą postępowała łagodnością.

Finlandczycy rodzimi pochodzenia fińsko-mongolskiego, chociaż tworzący znaczną większość (2 miljony na 250.000 Szwedów), stanowili do niedawna element zupełnie niekulturalny i jakkolwiek odznaczali się wieloma zdolnościami a zwłaszcza wytrwałością i pracowitością, to jednak pomimo korzystnych warunków, żadnych wybi-

tniejszych pod panowaniem szwedzkiem nie wydali przedstawicieli.

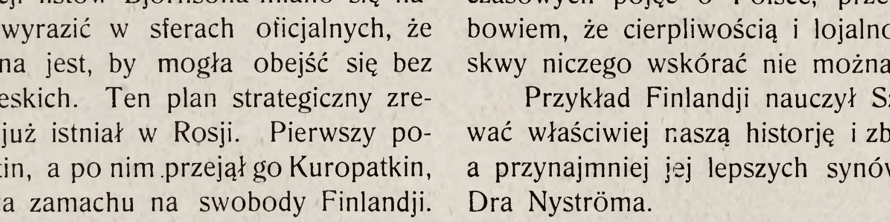
Narodowy ruch fiński rozpoczął się dopiero z początkiem w. XIX. i miał na celu głównie uzyskanie równouprawnienia językowego, co też nastąpiło ostatecznie w r. 1881. Pomimo to jednak ruch ten nie ustał i popierany przez niechętną autonomji finlandzkiej biurokrację rosyjską wzmagał się jeszcze bardziej, przeradzając się w coraz jaskrawszy antagonizm względem Szwedów. Ci, t. zw. finomani podzielili się z czasem na dwa obozy, obóz radykalny i obóz umiarkowany dążący do porozumienia z elementem szwedzkim. Po zniesieniu konstytucji pozostały ostatecznie tylko dwie partje: nieliczni ultra finomani godzący się z bezprawiem i patrjoci, partja obejmująca Szwedów zarówno jak i Finnów, większość ogromna można powiedzieć: cały naród, zgodnie protestujący przeciw zadanemu gwałtowi i trwający niezłamanie przy passywnym oporze.

Przyczynę rusyfikacji Finlandji upatruje dr. Nyström przedewszystkiem w dążeniu Rosji ku Atlantykowi, dążeniu, które obecnie zaostrzyło się wobec wzrastającej w ostatnich czasach morskiej potęgi Niemiec. Dr. Nyström zapewnia, że już w r. 1895 istniał w generalnym sztabie rosyjskim plan napadu na Szwecję drogą Laponji, celem opanowania, któregoś z portów norweskich. Wobec publikacji listów Björnsona miano się nawet wówczas wyrazić w sferach oficjalnych, że Rosja dość silna jest, by mogła obejść się bez zdrajców norweskich. Ten plan strategiczny zresztą oddawna już istniał w Rosji. Pierwszy powziął go Miliutin, a po nim przejął go Kuropatkin, główny sprawca zamachu na swobody Finlandji. Plan cały opracowany był jeszcze za życia Aleksandra II. A więc Finlandji w gruncie rzeczy nie zgubiła Szwecja, jak tego chcą niektórzy źle poinformowani (Dr. N. zapewnia, że nigdy wogóle nie istniał tam plan rewindykacji wielkiego księstwa) ani nawet walka narodowościowa szwedzko-fińska, ale poprostu polityka rosyjska i jej daleko idące cele zaborcze.

Od 19 lat czyniono wprawdzie w Szwecji bardzo powolne starania około reorganizacji i wzmocnienia armji szwedzko-norweskiej, co niektóre pisma rosyjskie tłumaczyły wrogimi Rosji zamiarami — zupełnie jednak bezpodstawnie. Zresztą wobec tego, że Finlandja posiadała konstytucję i ze stanu swego była zupełnie zadowoloną, było by to nawet bezpodstawne.

Dopiero ostatnie wypadki spowodowały, że zaczęto w Szwecji domyślać się jakichś wrogich zamiarów ze strony Rosji. Wśród robotników okrętowych coraz częściej trafiały się podejrzane figury, szpiedzy rosyjscy badający kraj, fortece i armję, która przed rokiem ostatecznie została zreorganizowana pomyślnie. Rezultatem obawy przed Rosją, wysoce pomyślnem następstwem smutnych zajść finlandzkich stała się nagle w całym narodzie obudzona solidarność narodowa, wobec której spory szwedzko-norweskie ustąpiły prawie w zupełności. Zmiana radykalna pojęć o Rosji pociągnęła za sobą i zmianę dotychczasowych pojęć o Polsce, przekonano się oto bowiem, że cierpliwością i lojalnością wobec Moskwy niczego wskórać nie można.

Przykład Finlandji nauczył Szwedów pojmować właściwiej naszą historję i zbliżył ich do nas, a przynajmniej jej lepszych synów — w rodzaju Dra Nyströma. *A. C.*



Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. Wojciech Dzieduszycki: *Mesjanizm polski* Kraków 1902 r. Autor w formie rozmów prowadzonych w Rzymie między sobą oraz trzema innymi turystami, podaje nam różne poglądy na cywilizację współczesną, rolę poszczególnych narodów i najnowsze prądy społeczne i umysłowe.

Wszystkie te poglądy są dość znane i dlatego nie będziemy się nad nimi zatrzymywali; natomiast w ostatnim VI. rozdziale autor wypowiada już wprost od siebie różne teorje dotyczące charakteru współczesnej cywilizacji; roli Polaków w rozwoju ludzkości. Ta część pracy zniewala nas do zrobienia kilku uwag.

Autor zaznacza rozkład współczesnej cywilizacji, który doprowadził niektóre z narodów współczesnych do widocznego upadku, jak Francuzów, Włochów i Hiszpanow; inne narody: jak Niemcy i Anglicy znajdują się w porównaniu z tamtymi w znacznie lepszem położeniu, jednakże smutny ich koniec już dziś można przewidzieć.

Jaka jest przyczyna tego? Autor przypisuje ją temu, że kościół, usiłując zmienić stosunki rodzinne i prywatne w duchu prawdziwego chrześcjaństwa, zupełnie nie starał się wprowadzić do sfery stosunków międzynarodowych zasad miłości i sprawiedliwości.

Ten błąd w polityce kościoła wywołał przeciwko niemu opozycję; a ponieważ narody na ogół nie odróżniają kościoła od chrześcjaństwa, więc walka z nim doprowadziła do krytyki i negacji tego ostatniego. Zaczęło się od reformacji, potem przyszła rewolucja, ateizm, materjalizm, socjalizm i t. p., kierunki te, zdaniem autora, burzyły tylko i nic pozytywnego zdziałać nie mogą.

Tylko z kościoła wyjść może odrodzenie, zapowiedź tego ostatniego widzi autor w działalności Leona XIII. Akcja kościoła, zdaniem p. Dzieduszyckiego, wówczas tylko prowadzić może dzieło reformy, polegające na zaprowadzeniu moralności w stosunkach międzynarodowych, jeżeli znajdzie się naród, który pracę w tym kierunku uzna za swoją misję dziejową.

„Stan narodów zachodnich wyklucza nadzieję, aby się które z nich dzieła podjęło; zresztą zadaniem dziejów narodów romańskich, było stworzyć cywilizację chrześciańską i to dzieło już dokonane; rasa germańska spełnia teraz do reszty swoje zadanie historyczne, krytyczne i przeczące w swej istocie, a mające na celu zburzenie fałszywych podstaw feudalnego i że tak rzekę policyjnego chrześcijaństwa...

Jeżeli dzisiejsza cywilizacja ma też być wyratowaną musi to być sprawą Słowian. Dwa są tylko wielkie słowiańskie narody: Rosja i Polska... Rosja dzisiejsza to tylko bierne narzędzie gabinetu petersburskiego, będącego wcieleniem nie chrześcijańskiej polityki; Rosja zatem zbawczego działania nie podejmie. Musi się tego podjąć Polska, jeżeli świat dzisiejszy nie ma runąć". Autor wierzy, że tak będzie.

W rozumowaniu p. Dzieduszyckiego uderza nas przedewszystkiem zupełnie nieuzasadnione, choć często powtarzane zdanie o upadku narodów łacińskich: Francuzów, Włochów i Hiszpanów.

Każdy z tych narodów ma dziś swoją bolączkę, ale też przejawia jeszcze znaczną żywotność. Włochy naprzykład zadziwiają nas obecnie swoim bardzo poważnym ruchem umysłowym; Francja cierpi na słaby wzrost ludności, lub nawet na jej ubytek, ale w innych sferach działalności ludzkiej przejawia żywotność W Hiszpanji upada współczesny system polityczny a stosunki ekonomiczne są opłakane, jednakże nie brak tam zapowiedzi odrodzenia, ruch artystyczny, oraz szybko wzrastająca świadomość potrzebnych reform — oto jasne strony życia hiszpańskiego.

Dowolnem zupełnie jest też wyznaczanie przez autora różnych „misji dziejowych" poszczególnym narodom.

Zupełnie zaś błędnem przypisywanie Leonowi XIII. moralniejszej polityki niż ta, którą prowadzili jego poprzednicy. Leon XIII. jest i był zawsze uosobieniem oportunizmu, łudzi on się od dawna nadzieją zjednania Rosji dla katolicyzmu i robi rządowi rosyjskiemu jaknajdalej idące ustępstwa.

Co do misji Polaków w dziejach, to jakkolwiek niezawodnie interesy nasze wymagają sprawiedliwości w stosunkach międzynarodowych, jednakże nie mamy odpowiednich sił do zreformowania polityki państw europejskich. Możemy okazywać sprawiedliwość wobec słabszych od nas, nie rozbroimy jednak jeszcze przez to wrogich nam potęg: Rosji i Prus.

Dziwna rzecz, p. Dzieduszycki, który nie wierzy w to, abyśmy przez walkę w sojuszu z siłami rewolu-

cyjnemi w państwach nam wrogich odzyskać mogli lepsze warunki bytu politycznego, przypuszcza jednocześnie, że w sojuszu z papiestwem potrafimy nietylko stanowisko utracone odzyskać, ale jeszcze zaprowadzić sprawiedliwość w całej Europie.

Zamykając pracę p. Dzieduszyckiego, byliśmy nadwyraz zdziwieni pochwałami, któremi obsypał ją przed kilku miesiącami p. Zdziechowski.

P. Dzieduszycki powinienby raczej pomyśleć o umoralnieniu obszarników galicyjskich, niż Europy.

L. K.

*

Księga pamiątkowa pięćsetletniego jubileuszu odnowienia Uniwersytetu Jagiellońskiego. 1400—1900. Kraków 1901, 8-ka wielka, str. 331.

Wspaniale wydany tom jest dokładną kroniką uroczystego obchodu jubileuszu. Zaczyna się rzecz cała, napisana przez sekretarza uniwersyteckiego, dra Leona Cyfrowicza, przygotowaniami do obchodu założenia *Almae Matris*, które zostały przerwane nieszczęściami roku 1864 i niezdecydowanem stanowiskiem rządu wobec uroczystości zamierzonej. Następnie przechodzi autor do ukonstytuowania się komitetu jubileuszowego w roku 1887 na wniosek prof. Rostafińskiego, poczem w barwnych obrazach przesuwają się przed naszemi oczyma uroczyste dnie 6, 7 i 8 czerwca roku 1900. Oprócz samych faktów obchodu przytoczono tutaj w dosłownem brzmieniu, a zarazem też w przekładzie na język polski znaczną część adresów, jakie składały przeróżne instytucje godującemu uniwersytetowi. Również zostały przytoczone ważniejsze przemówienia. Inne zaś adresy, telegramy gratulacyjne, dary i dzieła, wydane na cześć jubileuszu, zostały wymienione, od kogo pochodzą. Słowem, mamy tu jak najwierniejszy opis jubileuszu. Szkoda tylko, że skutkiem przeoczenia w korekcie, lub też częścią nieuwagi piszącego tę książkę, zakradło się do niej wiele błędów, częstokroć rażących. Dla przykładu tylko wymienimy, że na str. 279 pracę — o ile nas pamięć nie myli — Dra St. Krzyżanowskiego p. t.: „Poselstwo Kazimierza Wielkiego do Avignonu i pierwsze uniwersyteckie przywileje“, przypisano mylnie prof. dr. Aleksandrowi Kolessie. W wydawnictwie tego rodzaju, jak to właśnie, błędy tak rażące, należą do wcale niepożądanych. Dzieło ozdobione zostało kilkunastu podobiznami darów (berła, pierścienie rektorskie), oraz tablic pamiątkowych i adresów.

w. i.

*

Alkoholizm i społeczeństwo. Napisała Dr. Zofja Golińska. Warszawa. Nakł. M. Arcta.

W tej pracy popularnej zestawia autorka dowody szkodliwego działania alkoholu na jednostki i na całe narody, opowiada o usiłowaniach, zmierzających do powstrzymania i wyrugowania alkoholizmu i zachęca do walki ze zgubnym nałogiem. P. Dr. Zofja Golińska jest zwolenniczką zupełnej abstynencji od trunków alkoholowych i potępia nawet umiarkowane użycie alkoholu w jakiejkolwiek postaci, wódki, piwa, wina, czy innych napitków, a to nietylko ze względu na ich szkodliwość dla organizmu i dla umysłowego rozwoju, ale głównie z powodu demoralizującego wpływu, który na otoczenie wywiera używanie alkoholu nawet w małych ilościach. Słabsze natury, idąc za prądem zwyczajów domowych i towarzyskich, rychło tracą wszelką miarę i padają ofiarą strasznej trucizny. Z drugiej strony częściowe tylko wyrzekanie się trunków po największej części nie prowadzi do odzwyczajenia się od alkoholu i nie zabezpiecza przed ostremi recydywami. Tak wyprzysięganie się od wódki jest zupełnie bezowocne, jeśli ślubujący wypija znaczne porcje herbaty z rumem, albo oddaje się piwiarnianym libacjom. Przeciwnie piwo, według autorki, ma tę właściwość, że prędzej jeszcze, niż inne napitki, wchodzi w nałóg i wznieca coraz większe, trudne do ugaszenia pragnienie gambrynusowego napoju.

Także i z monopolu wódczanego nie oczekuje p. Dr. Golińska zbyt wielkiego pożytku, gdyż może on wprawdzie usunąć opilstwo w lokalach publicznych, lecz zakazi niem ognisko domowe, a przez to, być może, jeszcze większe uczyni spustoszenia moralne, fizyczne i materjalne. Trzeba jednak czekać z ostateczną oceną, gdyż sprawa, niedawno w życie wprowadzona, nie daje dostatecznych podstaw do ogólnych wniosków.

Książeczka zresztą napisana bardzo zajmująco, rozbiera bardzo wiele kwestji, wiążących się z alkoholizmem, a ze względu na cel i tendencje, zaleca się do jak największego rozpowszechnienia.

*

Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego. Rok 1902. Wydawnictwo Towarzystwa tom XXIII. Kraków 1902. Nakład i własność Towarzystwa Tatrzańskiego.

Jak zazwyczaj, tak też i omawiany rocznik „Pamiętnika“ podzielono na dwie części. Pierwsza z nich obejmuje sprawozdanie wydziału za rok 1901, protokoły posiedzeń i walnych zgromadzeń, oraz komisji, część finansową, spis członków Towarzystwa, wraz z jego oddziałami: Czarnohorskim w Kołomyji, a Pienińskim w Szczawnicy. Z cyfr, jakie widnieją w tych sprawozdaniach, okazuje się, że Towarzystwo postępuje i rozwija się pomyślnie, oddziały trzymają się jednak bardzo słabo.

Z zadowoleniem trzeba skonstatować, że dział drugi „Pamiętnika“ — naukowy — został znacznie rozszerzony. Zawiera on ogółem prac dłuższych i krótszych siedm. Pierwszą z nich Z. Weyberga: „Przyczynki do petrografji trzonu krystalicznego tatrzańskiego“ (str. 1—17), jako zbyt specjalną zaznaczamy tylko. Z kolei napotykamy fragment z wycieczki tatrzańskiej Janusza Chmielowskiego: „Baranie Rogi i Pośrednia Grań“. Jest to bardzo mile skreślony obrazek mozolnej wędrówki, w którym udało się autorowi pięknie odmalować wszystkie wrażenia z wielkiem poczuciem artystycznem. W dalszym ciągu pomieszczono znaną mowę Dr. Wł. Kozłowskiego w sprawie Morskiego Oka, wygłoszoną w Sejmie 28-go grudnia zeszłego roku. Z kolei Dr. St. Eljasz Radzikowski kontynuuje rozpoczętą w poprzednim roczniku pracę p. t.: „Zakopane przed stu laty“, w której mówi o górnictwie tatrzańskiem. Tego samego przedmiotu tyczy się druga praca wymienionego autora p. t.: „Góry srebrne w Tatrach, otwarte r. p. 1502“. W obu tych rozprawach

przytoczył autor mnóstwo cennych danych, oraz dokumentów, które częściowo wydrukował. W dalszym ciągu mamy tymczasowe doniesienie tegoż autora o badaniach nad resztkami człowieka jaskiniowego w grocie Magóry. Tom kończy się ogłoszeniem „Wyników spostrzeżeń meteorologicznych, dokonanych w r. 1901“, w zestawieniu p. Leopolda Świerza. Nadmienić wreszcie wypada, że książkę zdobi kilka doskonale wykonanych rycin.

w. i.

PISMA. *Biblioteka warszawska. Czerwiec:* Czerwcowy numer Biblioteki warszawskiej przedstawia się stosunkowo słabiej, niż inne. Z artykułów zwraca uwagę rzecz G a l l e g o: „Twórczość poetycka Marji Konopnickiej“ i artykuł dr. Br. Ł o z i ń s k i e g o: „Dwa upiory historyczne roku 1846“. Upiorami tymi są generał Benedeck i Breindl, starosta obwodu Tarnowskiego w 1846 r. Praca ta, jak wogóle wszystkie studja nad historją Galicji p. Łozińskiego, posługuje się archiwalnym materjałem i rozszerza nasze wiadomości z dziejów tego zaboru. Czarżółty zaś sos, z jakim zwykł autor podawać swe prace historyczne, nie powinnien od nich odstraszać. Wypadki 1846 r. zaciężyły przez długi czas nad historją Galicji, nie tylko dla tego, że uniemożliwiły powodzenie powstania 1846 r., ale także dla tego że wytworzyły przesadny lęk w społeczeństwie naszem przed ruchem ludowym, który przez długi czas zabarwiał się w wyobraźni „galicjanina“ krwawem widmem 1846 r. W społeczeństwie polskiem natomiast panuje jednak świadomość, że w wypadkach 1846 r. zawiniła biurokracja austryjacka. Pogląd ten wypowiadali też niektórzy poważni historycy niemieccy, jak Springer; jednak podważony on został przez pracę Sali, który całą odpowiedzialność rzucił na karb nieudolności i nieostrożności rewolucjonistów polskich. Stąd rozbiór materjału historycznego do tej epoki odnoszącego się: listów Benedeck'a i pamiętnika Breindla, podjęte przez p. Łozińskiego i od czasu do czasu uzupełnione aktami, jakie poznał w namiestnictwie przy sposobności studjów nad „Agenorem Gołuchowskim“ jest rzeczą bardzo ważną. Akta sądowe i administracyjne odnoszące się do 1846 r. nie zostały jednak jeszcze zbadane przez p. Łozińskiego, mimo to jednak udowadnia on dość ściśle udział austryjackiej biurokracji w rzezi galicyjskiej.

Wl. St.

SZTUKA. *Sztuka młodoczeska.* Ostatni numer wiedeńskiej „Zeit“ przynosi pełen ciepła, a jak zawsze, spokojny i wytrawny artykuł pióra znakomitego historyka sztuki Ryszarda Muthera, omawiający postacie kilku wybitniejszych przedstawicieli współczesnej sztuki młodoczeskiej. Poświęciwszy słów parę świeżo w Pradze urządzonej wystawie zbiorowej Rodina, której wytworna strona dekoracyjna, była dziełem zdolnego, młodego architekty, Jana Kotery, omawia najpierw twórczość młodych czeskich rzeźbiarzy, jak Saloun, Sucharda i inni, a zwłaszcza słynny Franciszek Bilek, ponury wizjoner-asceta, którego dzieła duchem ludowej mistyki średniowiecznej przesiąknięte, reprodukowało u nas częściowo krakowskie „Życie“. Muther nie jest zwolennikiem kierunku, który reprezentuje Bilek, nie może mu jednak odmówić szczerości i natchnienia, a twórczość jego tłumaczy sobie atawistycznie. Bilek bowiem pochodzi z Czech południowych, ze surowej ojczyzny Hussa i sam także jest urodzonym fanatykiem. Inną stronę ludowego charakteru czeskiego reprezentuje natomiast, na morawskiej Słowaczyźnie urodzony i zamieszkały, malarz ludowych scen rodzajowych i pejzażysta Joża Uprka, którego obrazy tak wybornie i z takim przepychem barw jaskrawych odtwarzają życie i obyczaje słowackiego ludu. Pokrewną Uprce pochodzeniem i temperamentem, organizacją artystyczną jest pejzażysta Slavicek, malarz rozkochany w słońcu i jego żarzących blaskach, których pełno jest zawsze w jego letnich krajobrazach. Pejzażystą również jest Hudecek, bardziej od Slavicka subtelny, rozmiłowany znów w półmrokach i mgłach, a zwłaszcza w oświetleniu księżycowem. Najwszechstronniejszym z pomiędzy tych młodych jest Svabinsky, malarz historyczny, rodzajowy, pejzażysta i portrecista. Jest on jednak zarazem najwięcej kosmopolitycznym. Odbił się na nim zwłaszcza wpływ współczesnych modernistów angielskich, zgrupowanych dokoła słynnego miesięcznika „The Studio“. Svabinsky pracuje obecnie nad wielkim obrazem przedstawiającym Rodina, wieńczonego przez geniusza rzeźby. Obraz ten ma być ofiarowany wielkiemu rzeźbiarzowi francuskiemu na pamiątkę jego niedawnej bytności w Pradze, przy okazji jego wystawy zbiorowej. W końcu zwraca Muther uwagę na mało dotąd nawet w samych w Czechach znanego malarza, Jana Preislera, którego uważa za talent pierwszorzędny i za subtelnego poetę, który zwłaszcza zdaje się być powołanym na ilustratora czeskich baśni ludowych i jako taki powinien wkrótce zająć w Europie jedno z pierwszorzędnych stanowisk. Jako malarzy afiszów wyróżnia wreszcie Muther: Hofbauera i Zupanskiego... A więc nareszcie udało tak młodej stosunkowo sztuce czeskiej, ściągnąć na siebie uwagę najznakomitszego dziś może w Niemczech znawcy sztuki, który do tej pory ani słowa jeszcze wyrzec nie raczył o sztuce... polskiej. Ale może kiedyś przyjdzie jeszcze kolej i na nas, o ile sztuka nasza ryczałtowo nie zostanie znów zaliczoną do rosyjskiej a może nawet do... austrjackiej.

A. C.



Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8